

**ISABEL**  
**ALLENDE**  
Portret w sepia

Przełożyły Marta Jordan, Ewa Zaleska

**MARGINESY**

*Retrato en sepia*

COPYRIGHT © Isabel Allende, 2000

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Marta Jordan

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Ewa Zaleska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,  
Warszawa 2022

Carmen Balcells i Ramonowi Huidobro – urodzonym  
tego samego dnia pod znakiem Lwa

Dlatego muszę wrócić w miejsca,  
które dopiero mnie czekają,  
by spotkać tam samego siebie  
i szukać prawdy o samym sobie,  
za świadka mając tylko księżyc;  
potem z radości mogę gwizdać  
depcząc po skałach i po grudach,  
za cel jedyny mając życie,  
a za rodzinę tylko drogę.

PABLO NERUDA

*WIATR (Z TOMU KONIEC ŚWIATA)*

I

1862-1880

Przyszłam na świat pewnego jesiennego wtorku 1880 roku w San Francisco, w przywodzącym na myśl labirynt domu moich dziadków ze strony matki. Kiedy moja matka dyszała niczym wspinający się pod górę piechur, jej waleczne serce waliło jak oszalałe, a kości rozsuwały się w rozpaczliwym trudzie utorowania mi drogi wyjścia, za oknami kipiało już nieokiełznane życie chińskiej dzielnicy, unosił się wieczny aromat egzotycznych potraw, głośno szumiał popot krzykliwych dialektów, sunął nieprzebrany tłum zmierzających w różnych kierunkach ludzkich mrówek. Urodziłam się o świecie, ale w Chinatown czas rządzi się własnymi prawami i jest to właśnie pora targu, na ulice wyjeżdżają dwukołowe wozy i słychać smutne poszczekiwanie psów oczekujących w klatkach na rzeźnicki nóż. Okoliczności, w jakich przyszłam na świat, poznałam, dopiero kiedy dorosłam, ale byłoby gorzej, gdybym nigdy się o nich nie dowiedziała: mogłyby wówczas rozplynać się na zawsze w przepastnych zakamarkach niepamięci. W mojej rodzinie jest tyle tajemnic, że na rozwikłanie wszystkich może mi nie starczyć czasu: prawda jest ulotna, obmywana potokami deszczu. Dziadkowie przyjęli mnie ze wzruszeniem – mimo że zdaniem naocznych świadków byłam brzydactwem – i położyli mojej matce na piersi, gdzie leżałam skulona przez kilka jedynek minut, jakie dane nam było być razem. Potem wuj Lucky chuchnął mi prosto w twarz, żeby przekazać mi swoje szczęście w życiu. To był szczodry gest, a i metoda niezawod-

na, bo jak na razie, przez pierwszych trzydzieści lat mam się dobrze. Ale chwileczkę, nie powinnam wybiegać do przodu. To długa historia, a rozpoczyna się wiele lat przed moim narodzeniem. Trzeba cierpliwości, aby ją opowiedzieć, i należy uzbroić się w jeszcze większą cierpliwość, aby ją wysłuchać. Skoro powinniśmy zacząć od jakiegoś konkretnego momentu, zaczniemy od roku 1862 i powiedzmy, ot tak, na chybił trafił, że ta historia rozpoczyna się od pewnego mebla o niewiarygodnych rozmiarach.

Łóżko Pauliny del Valle zostało zamówione we Florencji, rok po koronacji Wiktora Emanuela, kiedy w nowym Królestwie Włoch pobrzmiwało jeszcze echo strzałów wojsk Garibaldi. Rozebrane na części przepłynęło ocean w ładowni genueńskiego transatlantyku, wyładowano je w Nowym Jorku w dniach krwawego strajku i przeniesiono na pokład jednego z parowców towarzystwa żeglugowego należącego do Rodríguezów de Santa Cruz, czyli do moich dziadków ze strony ojca, Chilijczyków osiadłych w Stanach Zjednoczonych. Odbiór skrzyń, opisanych jednym tylko słowem po włosku: *nayades*, pokwitował kapitan John Sommers. Ten krzepki angielski marynarz, po którym został mi tylko wyblakły portret i pełen intrygujących rękopisów kufer ze skóry zniszczonej podczas niezliczonych przepraw morskich, był moim pradziadkiem, jak dowiedziałam się niedawno, gdy zawiślana historia mego wczesnego dzieciństwa zaczęła wreszcie się rozjaśniać po latach tajemnic. Nie znałam kapitana Johna Sommersa, ojca Elizy Sommers, mojej babki ze strony matki, ale odziedziczyłam po nim zamiłowanie do włośczęgi. Temu wilkowi morskiemu, przywodzącemu na myśl niezmierną dal i słońną wodę, przypadło w udziale przewiezienie florenckiego łoża aż na zachodnie wybrzeże kontynentu amerykańskiego. Musiał wymknąć się z blokady Jankesów i zmylić pościg konfederatów, dotarł do południowych kresów Atlantyku, przepłynął zdradzieckie wody Cieśniny Magellana, wpłynął na

Ocean Spokojny, po drodze zawijając na krótko do kilku portów południowoamerykańskich, i skierował statek ku północnej Kalifornii, niegdysiejszemu eldorado. Otrzymał wyraźne polecenie, by otworzyć skrzynie na molo w San Francisco, dopilnować okrętowego stolarza, aby nie uszkodził rzeźbionych ozdób, gdy będzie składał niczym łamigłówkę poszczególne części łóżka, a potem miał położyć na wierzchu materac i brokatową narzutę w kolorze rubinowym, wreszcie umieścić ciężki mebel na dwukółce i kazać wieźć go powoli do centrum miasta. Woźnica miał przykazane objechać dwa razy Plaza de la Unión i zrobić jeszcze dwie rundy, dzwoniąc dzwoneczkiem pod balkonem konkubiny mojego dziadka, a dopiero potem zawieźć łóżko do miejsca przeznaczenia, czyli do domu Pauliny del Valle. Wszystko to działo się w chwili, gdy wokół szalała wojna domowa, oddziały Jankesów i konfederatów masakrowały się wzajemnie na południu kraju i nikomu nie były w głowie żarty ani jakieś dzwoneczki. John Sommers wydał stosowne instrukcje, przeklinając w duchu, bo podczas miesięcy żeglugi łóżko stało się dla niego symbolem tego, czego najbardziej w swojej pracy nie znosił: kaprysów chlebobawczyni, Pauliny del Valle. Ujrzawszy łoże załadowane na wóz, westchnął głęboko i postanowił, że będzie to ostatnie zadanie, jakie dla niej wykonuje: pracował u Pauliny del Valle dwanaście lat i jego cierpliwość właśnie się wyczerpała. Łóżko zachowało się do dziś i jest w doskonałym stanie, przypomina zwalistego dinozaura z polichromowanego drewna. U wezgłowia zdobią je płaskorzeźby przedstawiające otoczonego podwodnymi stworzeniami Neptuna wśród spienionych fal, a w nogach baraszkują delfiny i syreny. Imponujący mebel obejrzała w ciągu kilku godzin połowa mieszkańców San Francisco, ale nie widziała go kochanka mojego dziadka, dla której przeznaczone było całe to widowisko, bo ukryła się w domu na czas, gdy wóz przejeżdżał obok, a potem robił kolejne rundy przy akompaniamencie dzwonka.



– Mój triumf nie trwał długo – wyznała mi Paulina wiele lat później, gdy uparłam się, żeby zrobić fotografię łóżka i poznać szczegóły tej historii. – Cały żart obrócił się przeciwko mnie. Myślałam, że ludzie będą sobie drwić z Feliciano, ale drwili ze mnie. Żle ich oceniłam. Kto mógł się spodziewać takiej dwulicowości? W tamtych czasach San Francisco było siedliskiem skorumpowanych polityków, rzeźmieszków i kobiet o wątpliwej reputacji.

– Nie spodobała im się taka manifestacja – powiedziałam.

– Właśnie. Uważa się, że kobieta powinna chronić dobre imię swego męża, nawet jeśli jest draniem.

– Babci mąż nie był draniem – zaoponowałam.

– Nie był, ale robił różne głupstwa. W każdym razie nie żałuję, że zamówiłam to słynne łóżko, śpię w nim od czterdziestu lat.

– A co zrobił babci mąż, gdy jego romans się wydał?

– Powiedział, że trwonię czas na bzdury niczym Kaligula, gdy tymczasem kraj wykrwawia się w wojnie domowej. I oczywiście wszystkiemu zaprzeczył. Nikt, kto ma trochę oleju w głowie, nie przyzna się do zdrady, choćby został nawet przyłapany w łóżku.

– Mówi to babcia z własnego doświadczenia?

– Wiele bym dała, żeby tak było w istocie, Auroro! – odparła bez wahania Paulina del Valle.

Na pierwszej fotografii, którą jej zrobiłam, gdy miałam trzynaście lat, Paulina siedzi w swym sławetnym łożu, wsparta na poduszkach z haftowanej satyny, w koronkowej koszuli nocnej i ma na sobie z pół kilo klejnotów. Taką widywałam ją wielokrotnie i wolałabym, żeby została pochowana w takim stroju, ale ona chciała, by złożono ją do grobu w skromnym habicie karmelitanki i zamawiano przez kilka lat śpiewane msze za spokój jej duszy. „Wywołałam już wiele zgorszenia, nadszedł czas, by spuścić z tonu”, powiedziała, pograżając się w ponurej melancholii ostatnich lat życia. Gdy spostrzegła, że dobiega kresu swej drogi, przestraszyła się. Kazała znieść łóżko do piwnicy, a na jego miejsce wstawić drewnianą pry-

czę z materacem z końskiego włosia, żeby po latach zbytku dokonać żywota skromnie i bez zbędnego luksusu, bo, jak powiedziała, może wtedy święty Piotr wymaże obciążające ją zapiski z księgi grzeszników. Strach nie był jednak na tyle duży, żeby skłonić ją do wyzbycia się innych dóbr materialnych, więc do ostatniego tchnienia dzierżyła ster swego finansowego imperium, znacznie już w owym czasie okrojonego. Na starość niewiele pozostało z jej młodzieńczej werwy, znikła nawet ironia, a jednak moja babka stała się legendą za życia i nie mógł jej w tym przeszkodzić żaden materac z końskiego włosia ani habit karmelitanki. Sprowadzenie florenckiego łóża, które dla zaspokojenia własnej zachcianki i ukarania męża kazała wozić po głównych ulicach, należało do jej największych wyczynów.

W owym czasie mieszkali w San Francisco i używali nazwiska Cross, ponieważ żaden Amerykanin nie potrafił wymówić dźwięcznego Rodríguez de Santa Cruz y del Valle, a szkoda, bo w tym nazwisku pobrzmiwają odległe odgłosy inkwizycji. Przeprowadzili się właśnie do dzielnicy Nob Hill, gdzie mieli rezydencję niedorzecznych rozmiarów, jedną z najbardziej zbytkownych w mieście, której budowa była koszmarem dla różnych rywalizujących ze sobą architektów, przyjmowanych do pracy i zwalnianych co pięć minut. Rodzina Rodríguezów de Santa Cruz y del Valle dorobiła się fortuny podczas gorączki złota w 1849 roku, ale nie na jego wydobyciu, jak chciał Feliciano, lecz dzięki temu, że Paulina miała wspaniałą żyłkę do interesów i wpadła na pomysł, by transportować z Chile do Kalifornii świeżą żywność obłożoną lodem z Antarktydy. Umiała wykorzystać okoliczność, że w tamtej burzliwej epoce brzoskwinia kosztowała uncję złota. Przedsięwzięcie okazało się bardzo intratne i dorobili się flotylii statków kursujących między Valparaíso i San Francisco; w pierwszym roku statki pokonywały drogę powrotną bez ładunku, ale wkrótce zaczęły przewozić kalifornijską mąkę. Doprowadzili w ten sposób do ruiny wielu chilijskich rolników, nawet ojca Pauliny, budzącego postrach Agustína

del Valle, którego zboże zrobaczywiało w spichlerzach, bo jego produkt nie mógł konkurować z bielusienką mąką Jankesów. Agustín del Valle wpadł we wściekłość, od której robak stoczył mu także wątrobę. Gdy gorączka złota opadła, tysiące poszukiwaczy przygód wróciło w rodzinne strony w większej nędzy niż ta, która ich po zło- to wygnała, zmarnowawszy zdrowie i zatraciwszy duszę w pogoni za mrzonką. Ale Paulina i Feliciano dorobili się majątku. Znaleźli się na szczycie hierarchii społecznej San Francisco, pomimo że ich hiszpański akcent stanowił po temu przeszkodę niemal nie do po- konania. „Wszyscy w Kalifornii to nuworysze i ludzie podłego sta- nu, ale nasze drzewo genealogiczne sięga czasów krucjat” – uciñała wszelkie dyskusje Paulina, nim dała w końcu za wygraną i wróciła do Chile. Oprócz szlacheckich tytułów i kont w bankach wszystkie drzwi otwierało przed nimi pogodne usposobienie Feliciano, który zaprzyjaźnił się z najpotężniejszymi ludźmi w mieście. Jego żonę natomiast z trudem tolerowano, bo ostentacyjnie obnosiła się ze swoim bogactwem, była złośliwa i traktowała innych z lekcewaze- niem, nie zważała na nic ani na nikogo. Powiedzmy sobie szczerze: przy pierwszym kontakcie Paulina budziła w ludziach fascynację pomieszaną ze strachem, niczym iguana, dopiero przy bliższym poznaniu można było dostrzec jej życzliwe usposobienie.

W 1862 roku Paulina namówiła męża do udziału w przedsię- wzięciu handlowym związanym z budową kolei transkontynental- nej, co ostatecznie uczyniło z nich ludzi bogatych. Nie rozumiem, skąd się wziął u tej kobiety taki talent do interesów. Pochodziła z rodziny chilijskich właścicieli ziemskich, ludzi ubogich duchem i o wąskich horyzontach myślowych. Wychowała się w czterech ścianach rodzinnego domu w Valparaíso, odmawiając różaniec i za- mując się haftowaniem, ponieważ jej ojciec uważał, że kobiety i bie- dacy nie powinni za dużo wiedzieć, bo niewiedza gwarantuje posłu- szeństwo. Z trudem składała litery i opanowała zaledwie podstawy arytmetyki, nie przeczytała w życiu ani jednej książki i pomagała

sobie palcami przy dodawaniu (odejmować w ogóle nie umiała), ale wszystko, czego się dotknęła, od razu zamieniało się w złoto. Gdyby nie synowie i kuzyni, trwoniący pieniądze na prawo i lewo, dożyłaby swoich dni otoczona cesarskim przepychem. W owym czasie budowano linię kolejową, która miała połączyć wschód z zachodem Stanów Zjednoczonych. Gdy wszyscy kupowali akcje dwu towarzystw kolejowych i zakładali się o to, które szybciej położy szyny, ona, lekceważąc całkowicie ten niedorzeczny wyścig, rozłożyła mapę na stole w jadalni i z wnikliwością urodzonego topografa przyjrzała się terenom, przez które miała przebiegać przyszła linia kolejowa, oraz miejscom, które na tej trasie obfitowały w wodę. Na długo przedtem, nim niewykwalifikowani chińscy robotnicy wkręcili ostatnią śrubę i połączyli szyny kolejowe w Promotory w stanie Utah, nim pierwsza lokomotywa przemierzyła kontynent z żelaznym zgrzytem, dymiąc z komina jak wulkan i bucząc niczym tonący statek, Paulina namówiła męża, żeby kupić ziemię w miejscach zaznaczonych na mapie czerwonymi krzyżykami.

– W tych miejscach jest woda, więc będą tu zakładać osady, a my w każdej osadzie będziemy mieli sklep – tłumaczyła.

– Na to potrzeba wielkich pieniędzy – wykrzyknął z przerażeniem Feliciano.

– Pożycz je, po to są banki. Po co ryzykować własny kapitał, skoro możemy posłużyć się cudzym? – odparła Paulina, używając swego zwyczajowego w takich przypadkach argumentu.

Prowadzili właśnie negocjacje z bankami i kupowali tereny na trasie przecinającej w poprzek cały kraj, gdy wybuchła sprawa z konkubiną. Chodziło o niejaką Amandę Lowell, aktorkę o bardzo ponętym wyglądzie. Była Szkotką, miała mleczną cerę, oczy w kolorze szpinaku i ciało apetyczne niczym brzoskwinia, jak zapewniali ci, którzy mieli okazję to sprawdzić. Śpiewała i tańczyła niezbyt dobrze, ale robiła to z werwą, występowała w tanich komedijkach i swoją obecnością ożywiała atmosferę przyjęć w zamożnych rezy-

dencjach. Miała czasem przy sobie przywiezionego z Panamy węża; był długi, gruby i potulny, choć o przerażającym wyglądzie, i owijał jej się wokół ciała, gdy wykonywała egzotyczne tańce. Nie było podstaw, by podejrzewać go o jakieś mordercze zamiary aż do pewnego niefortunnego wieczoru, kiedy to Amanda wystąpiła w diademy z piór wplecionym we włosy, a wąż pomylił fryzurę z jakąś zabłąkaną przypadkiem papugą i usiłując ją połknąć, o mało swej pani nie udusił. Piękna Lowell nie zaliczała się do wielotysięcznej rzeszy „splamionych gołąbeczek”, tak aktywnych w życiu uczuciowym Kalifornii. Była wyniosłą kurtyzaną i aby zdobyć sobie jej względy, trzeba było nie tylko dysponować gotówką, lecz wykazać się ponadto dobrymi manierami i urokiem osobistym. Dzięki hojności swych opiekunów prowadziła dostatnie życie i mogła jeszcze wspierać całą gromadę pozbawionych talentu artystów. Było jej pisane umrzeć w nędzy, bo albo rozdawała pieniądze, albo wydawała je bez opamiętania. Kiedy w pełnym rozkwicie młodości przechadzała się po mieście, jej powabna sylwetka i lwia grzywa rudych włosów powodowały poważne zakłócenia w ruchu ulicznym, jednak skłonność do wywoływania skandali mocno osłabiała powodzenie, jakim się cieszyła: w przypływie złości potrafiła zniszczyć czyjeś dobre imię albo zrujnować rodzinę. To było dla Feliciano dodatkową zachętą; lubił ryzyko i perspektywa igrania z ogniem kusila go równie mocno jak jędrne pośladki panny Lowell. Wynajął jej mieszkanie w samym centrum miasta, ale nigdy nie pokazywał się z nią publicznie, ponieważ znał zbyt dobrze charakter swojej żony; kiedyś w przypływie zazdrości obcięła nożyczkami nogawki i rękawy wszystkich jego garniturów i rozrzuciła skrawki pod drzwiami jego biura. Dla mężczyzny tak eleganckiego jak on, który ubrania szył na miarę u krawca księcia Alberta w Londynie, było to prawdziwym ciosem.

W San Francisco, mieście mężczyzn, żona dowiadywała się o niewierności męża ostatnia. Ale do Pauliny wiadomość dotarła szybko dzięki samej Lowell. Gdy tylko zamykały się drzwi za jej

opiekunem, przyjmowała kolejnych kochanków i po każdej wizycie nacinała kreskę na ramie łóżka. Była kolekcjonerką, nie interesowali jej mężczyźni ze względu na ich szczególne zalety, interesowała ją liczba kresek: miała ambicję, by pobić rekord fascynującej Loli Montez, irlandzkiej kurtyzany, która przemknęła przez San Francisco w czasach gorączki złota niczym iskrząca się gwiazda. Plotkę o kreskach nacinanych przez Lowell przekazywano sobie z ust do ust, a panowie kłócili się o kolejność składania jej wizyt znęceni zarówno wdziękami samej ślicznotki, z którą wielu zdążyło już zarwać całkiem bliską znajomość, jak i powodowani ambicją przepiania się z utrzymanką jednego z najszacowniejszych mieszkańców miasta. Wiadomość dotarła do Pauliny del Valle, nim zdążyła obieć całą Kalifornię.

– Najbardziej upokarzające jest to, że ta dowcipnisia przyprawia ci rogi i teraz wszyscy gadają, że mam za męża frajera bez jaj! – pomstowała Paulina na małżonka, nie przebierając w słowach.

Feliciano Rodríguez de Santa Cruz, który nie wiedział nic o kolekcjonerskiej pasji swojej kochanki, omal nie umarł ze wstydu. Nie przyszło mu do głowy, że przyjaciele, znajomi, a w końcu ludzie, którzy bardzo dużo mu zawdzięczali, mogą tak się z niego wyśmiewać. Nie obwiniał natomiast Amandy, ponieważ miał zrozumienie dla kapryśnej natury kobiet, stworzeń uroczych, lecz pozbawionych kośćca moralnego, zawsze skorych do ulegania pokusie. One są związane z ziemią, z płodnością, krwią, z funkcjami organicznymi, domena mężczyzn zaś to bohaterskie czyny, wielkie idee i, choć nie był to akurat jego przypadek, ich przeznaczeniem jest świętość. Bronił się jak mógł, odpierając ataki żony, a chwilę przerwy w awanturze wykorzystał, by uczynić jej wyrzut o ryglowanie drzwi do małżeńskiej sypialni. Czy wyobraża sobie, że mężczyzna taki jak on zgodzi się na życie w celibacie? Sama jest wszystkiemu winna, ponieważ go odrzuciła, argumentował. Co do ryglowania drzwi to miał całkowitą rację, Paulina zrezygnowała z cielesnych uciech nie

dlatego bynajmniej, by brakło jej ochoty, jak wyznała mi czterdzieści lat później, ale ze wstydu. Własne odbicie w lustrze napełniało ją wstrętem i doszła do wniosku, że każdy mężczyzna zareagowałby podobnie, widząc ją nagą. Pamiętała dobrze tę chwilę, gdy uświadomiła sobie, że ciało staje się jej wrogiem. Kilka lat wcześniej, gdy Feliciano wrócił z długiej podróży w interesach do Chile, chwycił ją w tali i tryskając jak zawsze dobrym humorem, chciał podnieść do góry i zanieść do łóżka, ale nie mógł jej dźwignąć.

– Do licha, Paulino! Nosisz kamienie w pantalonach? – spytał ze śmiechem.

– To tłuszcz – westchnęła smutno.

– Chcę to zobaczyć!

– W żadnym wypadku. Od dzisiaj możesz przychodzić do mego pokoju tylko nocą. I nie zapalaj lampy.

I przez pewien czas chodzili do łóżka po ciemku, choć kiedyś kochali się bez odrobiny wstydu. Paulina pozostała nieugięta mimo błagań i wybuchów złości męża, który nie chciał się pogodzić, że musi szukać jej pod stertą prześcieradeł w sypialni pogrążonej w całkowitej ciemności albo dotykać jej niczym jakiś ksiądz, w pośpiechu, gdy ona ciągle powstrzymywała jego dłonie, by nie spoczęły na jej obfitych kształtach. Ciągła walka wyczerpywała oboje do cna i sprawiała, że nerwy mieli napięte jak postronki. Wreszcie, korzystając z pretekstu, jakiego dostarczyła przeprowadzka do nowej rezydencji w Nob Hill, Paulina umieściła męża w przeciwnym krańcu domu i zaryglowała drzwi do swego pokoju. Niechęć do własnego ciała okazała się silniejsza niż pożądanie, jakie budził w niej mąż. Szyja znikła pod podwójnym podbródkiem, piersi połączyły się z brzuchem w jedną wypukłość jak u księdza dobrodzieja, stopy nie dawały rady utrzymać ciężaru ciała dłużej niż kilka minut, nie mogła się sama ubrać ani zapiąć sobie pantofli, jednak w jedwabnych sukniach i obwieszona wspianiałymi klejnotami, cyli w swoim codziennym niemal stroju, wyglądała jak cudowne

zjawisko. Bardzo się martwiła, że pot zbiera jej się między fałdami tłuszczu, i często pytała mnie szeptem, czy aby brzydko nie pachnie, ale nigdy nie czułam od niej zapachu innego niż woń gardenii i talku. Odrzucała panujący wówczas powszechny przesąd, że woda i mydło szkodzą na oskrzela, i całymi godzinami pławiła się w emaliowanej żeliwnej wannie – czuła się wtedy tak lekka jak w młodości. Gdy zakochała się w Felicianie, był on przystojnym i ambitnym młodym człowiekiem, właścicielem kilku kopalni srebra na północy Chile. Przez miłość do niego naraziła się na złość ojca, Agustína del Valle, słynnego założyciela kanapowej partii ultrakonserwatywnej, która co prawda znikła ze sceny ponad dwadzieścia lat temu, ale co jakiś czas wynurza się z niebytu niczym żałosny, oskubany z piór feniks. Powodowała ją ciągle ta sama miłość, gdy – osiągnąwszy wiek, w którym bardziej niż kiedykolwiek tęskniła do czułości – postanowiła zabronić mu wstępu do swej sypialni. W odróżnieniu od Pauliny Feliciano starzał się z wdziękiem. Włosy mu posiwiały, ale był ciągle zażywnym, wesołym mężczyzną, zwariowanym i namiętym. Paulinie podobało się jego prostackie usposobienie, lubiła myśleć, że ten zamożny człowiek o wyniośle brzmiących nazwiskach wywodzi się z sefardyjskich Żydów i że pod jedwabną koszulą z haftowanymi inicjałami skrywa ordynarny tatuaż, który kazał sobie zrobić podczas jakiejś pijatyki w porcie. Pragnęła znowu usłyszeć te świństwa, które szeptał jej do ucha w czasach, gdy jeszcze baraszkowali w łóżku przy zapalonych lampach, i oddałaby wszystko za to, by raz jeszcze zasnąć z głową na smoku wytatuowanym niebieskim tuszem na ramieniu męża. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że on pragnie tego samego. Dla Feliciano pozostała na zawsze odważną narzeczoną, z którą uciekł w młodości, jedyną kobietą, którą podziwiał i przed którą czuł respekt. Myślę, że tych dwoje nigdy nie przestało się kochać mimo kłótni gwałtownych niczym cyklon i przyprawiających o dygot wszystkich domowników. Czułe uściski, które dawniej dawały im



tyłe szczęścia, ustąpiły miejsca bitwom przerywanym długotrwałymi zawieszzeniami broni i pamiętnymi odwetami, jak słynne florenckie łoże. Żaden konflikt nie zaszkodził jednak ich wzajemnym stosunkom i do samego końca, gdy on padł nagle rażony apopleksją, łączyło tych dwoje godne zazdrości łotrzykowskie porozumienie.

Kiedy kapitan John Sommers upewnił się, że mebel z mitologiczną ornamentyką znajduje się na wózku, a woźnica zrozumiał wydane mu polecenia, ruszył piechotą w kierunku Chinatown, jak robił zawsze, ilekroć przychodził do San Francisco. Tym razem jednak czuł się słaby i minąwszy dwie przecznice, przywołał ręką powóz. Z trudem wspiął się na stopień, podał woźnicy adres i ciężko dysząc, opadł na oparcie siedzenia. Dolegliwości dawały o sobie znać już od roku, ale w ostatnich tygodniach wyraźnie się nasiliły: nogi robiły się miękkie, głowę wypełniał męczący szum i kapitan musiał mobilizować wszystkie siły, żeby nie poddać się otępieniu. Siostra Johna, Rose, pierwsza zauważyła, że coś jest nie tak, choć on sam nie odczuwał jeszcze bólu. Uśmiechnął się na myśl o niej: była najbliższą mu i najukochańszą istotą, gwiazdą przewodnią w jego koczowniczym życiu, jej uczucie było dla niego bardziej rzeczywiste niż miłość córki Elizy, nie mówiąc już o którejkolwiek z wielu kobiet, które brał w objęcia podczas długich wędrówek od portu do portu.

Rose Sommers spędziła młodość w Chile, w rezydencji swego starszego brata Jeremy'ego, ale po jego śmierci wróciła do Anglii, żeby na starość znaleźć się w rodzinnych stronach. Mieszkała w Londynie, w domu położonym nieopodal opery i kilku teatrów, w dzielnicy nieco podupadłej, gdzie mogła wieść życie wedle własnych upodobań. Przedtem była tylko zapobiegliwą gospodynią domu Jeremy'ego, teraz mogła dać upust swoim ekscentrycznym gustom. Upozowana na aktorkę, która lata świetności i sławy ma już za sobą, chadzała do Savoya na filiżankę herbaty albo wychodziła na spacer z psem przebrana za rosyjską hrabinę, przyjaźniła się z zebra-

kami i z grajkami ulicznymi, wydawała pieniądze na głupstwa i na jałmużnę. „Nic nie daje tyle wolności, co wiek” – powtarzała szczęśliwa, licząc zmarszczki. „To nie wiek, siostró, ale dobra sytuacja finansowa, na którą zapracowałam piórem” – odpowiadał John Sommers. Ta czcigodna i siwa jak gołąbek stara panna dorobiła się całkiem sporego majątku, pisząc powieści pornograficzne. Najzabawniejsze, myślał sobie kapitan, że właśnie teraz, gdy nie musi już się z tym ukrywać, co było konieczne wówczas, gdy żyła w cieniu swego brata, zarzuciła pisanie erotycznych opowiadań i w szaleńczym tempie zaczęła produkować romanse, odnosząc niebywały sukces na rynku. Wśród kobiet, dla których angielski był językiem ojczystym, a należy wliczyć w to grono również królową Wiktorię, nie było takiej, która nie przeczytałaby przynajmniej jednego albo dwóch romansów pióra lady Rose Sommers. Ten dystyngowany tytuł zalegalizował jedynie pozycję, jaką Rose zdobyła sobie szturmem przed wieloma laty. Gdyby królowa Wiktoria dowiedziała się, że jej ulubiona pisarka, uhonorowana przez nią osobiście tytułem szlacheckim, jest autorką pokaźnej kolekcji nieprzyzwoitych opowiadań podpisanych przez Anonimową Damę, padłaby zemdlona. Kapitan uważał, że pornograficzne dziełka były smakowite, a powieści o miłości nudne i nic niewarte. Przez wiele lat troszczył się o wydawanie i rozpowszechnianie zakazanych opowiadań pisanych przez Rose pod nosem starszego brata, który umarł w przekonaniu, że siostra jest cnotliwą panią troszczącą się jedynie o uprzyjemnianie mu życia. „Uważaj na siebie, Johnie, nie możesz zostawić mnie samej na świecie. Jesteś wychudzony i masz niezdrowy kolor skóry” – powtarzała mu codziennie Rose, gdy kapitan odwiedził ją w Londynie. Od tamtego czasu w jego wyglądzie zaszły nieubłagane zmiany, sprawiając, że przypominał jaszczurkę.

Tao Chi'en kończył właśnie wyciągać igły z uszu i ramion pacjenta leczonego akupunkturą, kiedy pomocnik powiadomił go o przybyciu teścia. *Zhong yi* odłożył starannie złote igły do naczynia z czy-

stym alkoholem, umył ręce w miednicy, włożył marynarkę i poszedł powitać gościa, zdziwiony, że Eliza nie uprzedziła go o dzisiejszej wizycie ojca. Każde odwiedziny kapitana Sommersa były świętem. Rodzina czekała na nie z utęsknieniem, szczególnie dzieci, które godzinami podziwiała egzotyczne podarunki i słuchały opowieści dziadka olbrzyma o morskich potworach i malajskich piratach. Wysoki, zwalisty, o twarzy ogorzałej od słonego wiatru wszystkich mórz świata, z rozwianą brodą, o głosie donośnym niczym grzmot i niewinnych błękitnych oczach dziecka, kapitan budził zwykle zachwyty swą odzianą w niebieski mundur postacią. Jednak człowiek, którego Tao Chi'en ujrzał tym razem w fotelu, był tak drobny, że z trudem rozpoznał w nim swego teścia. Powitał go z uszanowaniem, skłaniając się kilkakrotnie na chińską modłę, bo nigdy nie przezwyciężył tego odruchu. Poznał Johna Sommersa w młodości, kiedy pracował jako kucharz na jego statku. „Masz do mnie mówić proszę pana. Zrozumiano, Chińczyku?” – rozkazał kapitan, gdy spotkali się po raz pierwszy. Obydwaj mieliśmy wtedy ciemne czupryny, pomyślał Tao Chi'en, i wobec tej widocznej zapowiedzi zbliżającej się śmierci poczuł ukłucie bólu. Anglik z wysiłkiem podniósł się z fotela, podał mu rękę. *Zhong yi* spostrzegł, że jest teraz wyższy i potężniejszy od kapitana.

– Czy Eliza spodziewała się pana dzisiaj? – zapytał.

– Nie. Musimy porozmawiać na osobności, tylko pan i ja, Tao. Umieram.

*Zhong yi* zrozumiał to natychmiast, kiedy tylko go zobaczył. Bez słowa poprowadził kapitana do gabinetu, pomógł mu się rozebrać i ułożyć na leżance. Pozbawiony ubrania wyglądał żałośnie: gruba, wysuszona skóra o miedzianym odcieniu, pożółkłe paznokcie, przekrwione oczy, wzdęty brzuch. Najpierw go osłuchał, a potem zmierzył tętno przy nadgarstkach, na szyi i przy kostkach u nóg. Chciał utwierdzić się w tym, co i tak już wiedział.

– Ma pan całkowicie zniszczoną wątrobę. Pije pan nadal?

– Trudno wymagać, żebym zarzucił coś, co robię całe życie, Tao. Myśli pan, że można wytrwać w zawodzie marynarza, nie pociągając sobie łyżeczka od czasu do czasu?

Tao uśmiechnął się. Zazwyczaj Anglik wypijał pół butelki dziu dziennie, ale kiedy trzeba było odegnąć jakiś smutek albo coś uczcić, wypijał całą butelkę i wcale nie było tego po nim widać: nie cuchnął alkoholem, bo całe ubranie i oddech miał przesiąknięte mocnym zapachem tytoniu marnej jakości.

– Poza tym już za późno na skruchę, prawda? – dodał John Sommers.

– Może pan żyć trochę dłużej i w lepszej kondycji, jeśli przestanie pan pić. Dlaczego pan trochę nie odpocznie? Proszę zamieszkać z nami na jakiś czas. Eliza i ja zaopiekujemy się panem, dopóki pan nie wydobrzeje – zaproponował *zhong yi*, nie patrząc na teścia, żeby nie zdradzić się ze swoim przygnębieniem. Pracując od wielu lat jako lekarz, musiał często, tak jak dzisiaj, toczyć wewnętrzną walkę, by nie ulec uczuciu straszliwej bezsilności, jakie zwykle go ogarniało, gdy przekonywał się ponad wszelką wątpliwość o niewielkich możliwościach swej lekarskiej sztuki wobec tragedii śmiertelnie chorego człowieka.

– Miałbym się dobrowolnie oddać w ręce Elizy? Żeby mnie skazała na abstynencję?! Ile czasu mi zostało, Tao? – spytał John Sommers.

– Nie potrafię tego dokładnie określić. Proszę zasięgnąć rady u kogoś innego.

– Tylko pana opinia się dla mnie liczy. Odkąd wyrwał mi pan bezboleśnie ząb w połowie drogi między Indonezją i wybrzeżem Afryki, nie pozwoliłem, żeby jakiś inny lekarz dotykał mnie swoimi łapskami. Ile to już minęło czasu?

– Będzie piętnaście lat. Dziękuję panu za zaufanie.

– Tylko piętnaście? To dlaczego mam wrażenie, jakbyśmy się znali całe życie?

– Może znaleźliśmy się w poprzednim wcieleniu.

– Reinkarnacja mnie przeraża, Tao. Niech pan tylko pomyśli, że w następnym życiu byłbym muzułmaninem. Wie pan, że ci biedacy nie piją alkoholu?

– To jest z pewnością pańska karma. W każdym następnym wcieleniu musimy doprowadzić do końca to, czegośmy nie rozwiązali w poprzednim – zażartował Tao.

– Wolę piekło chrześcijan, jest mniej okrutne. No tak, ale Elizie o tym ani słowa – zakończył John Sommers, wkładając ubranie i walcząc z guzikami, które wymykały się drżącym palcom. – Może się okazać, że jestem tu po raz ostatni, więc wolę, by Eliza i moje wnuki zapamiętali mnie wesołego i zdrowego. Odchodzę spokojny, Tao, bo wiem, że nikt nie potrafiłby zaopiekować się moją córką lepiej niż pan.

– Nikt nie potrafiłby jej bardziej kochać.

– Kiedy mnie już nie będzie, ktoś powinien zatroszczyć się o moją siostrę. Wie pan, że Rose była dla Elizy jak matka...

– Proszę się nie martwić. Eliza i ja będziemy o nią zawsze dbali – zapewnił go zięć.

– A śmierć... to znaczy... Będzie szybka i godna? Jak poznam, że nadchodzi koniec?

– Gdy zwymiotuje pan krwią – odpowiedział ze smutkiem Tao.

Zwymiotował trzy tygodnie później, pośrodku Oceanu Spokojnego, skryty przed oczami innych ludzi w kapitańskiej kajucie. Gdy z wysiłkiem stanął na nogi, wytarł resztki wymiocin, przepłukał usta, zmienił zakrwawioną koszulę na czystą, zapalił fajkę i wyszedł na dziób statku. Uniósł głowę, spoglądając po raz ostatni na gwiazdy mrugające na czarnym aksamitnym niebie. Spostrzegło go kilku marynarzy i stanęło w pewnej odległości, z czapkami w dłoniach. Gdy dopalił się tytoń w fajce, kapitan John Sommers przełożył nogi przez burtę i ześliznął się bezszelestnie do morza.

Severo del Valle poznał Lynn Sommers w roku 1872, kiedy to ze swoim ojcem odbył podróż z Chile do Kalifornii, żeby odwiedzić ciotkę Paulinę i wuja Feliciano, bohaterów najbarwniejszych rodzinnych powieści. Ciotkę Paulinę Severo spotkał już dwukrotnie, podczas jej sporadycznych przyjazdów do Valparaíso, ale dopiero widząc ją w środowisku amerykańskim, zrozumiał rodzinne aluzje pełne chrześcijańskiego zgorszenia. Z dala od konserwatywnego i katolickiego świata Chile, z dala od dziadka Agustína, przykutego paraliżem do fotela, od babki Emilii smętnie dziergającej koronki i robiącej sobie lewatywy z wywaru z nasienia lnu, z dala od reszty zżeranej zazdrością i bogobojnej rodziny Paulina jawiła się w całej krasie jako silna i niezależna kobieta. W czasie pierwszego pobytu u krewnych Severo del Valle był jeszcze zbyt młody, by ocenić potęgę albo majątek swych znakomitych wujostwa, ale już wtedy nie umknęły jego uwadze różnice między tą parą a całą resztą klanu del Valle. Dopiero kiedy przyjechał do nich po kilku latach, zdał sobie sprawę, że należą do najbogatszych rodzin w San Francisco, obok takich potentatów jak właściciele kolei, banków i linii żeglugowych. Ale to właśnie podczas pierwszych odwiedzin, gdy jako piętnastolatek siedział w nogach polichromowanego łoża ciotki Pauliny i przysłuchiwał się, jak przygotowuje strategię swych handlowych potyczek, podjął decyzję co do własnej przyszłości.

– Powinieneś zostać adwokatem, żeby pomagać mi niszczyć moich wrogów w majestacie prawa – poradziła mu któregoś dnia Paulina między jednym a drugim kęsem francuskiego ciasta z karmelem.

– Dobrze, ciciu. Dziadek Agustín mówi, że w każdej szanującej się rodzinie powinien być adwokat, lekarz i biskup – odpowiedział bratanek.

– Przydaje się także ktoś z głową do interesów.

– Dziadek uważa, że szlachcic nie powinien parać się handlem.

– Powiedz mu, że ze szlachectwa trudno wyżyć i żeby je sobie wsadził w tyłek.

Chłopiec słyszał już przedtem to brzydkie wyrażenie z ust domowego woźnicy, pewnego madrytczyka, który uciekł z więzienia na Teneryfie i z niezrozumiałych powodów kazał się czasem całować w tyłek albo radził innym, by mówili tak samo.

– Nie ma co się gorszyć, mały, widzisz przecież, że wszyscy mamy tyłki! – dodała Paulina, krztusząc się ze śmiechu na widok miny chłopca.

Tego samego dnia po południu zabrała go do cukierni Elizy Sommers. San Francisco zachwyciło chłopca od razu, gdy tylko ujrzał je z pokładu statku: połyskujące w słońcu miasto położone wśród zielonych, porośniętych drzewami wzgórz opadających łagodnymi stokami ku brzegowi spokojnej zatoki. Z daleka wydawało się ascetyczne z wytyczoną na modłę hiszpańską siatką równoległych i prostopadłych ulic, ale oglądane z bliska miało w sobie urok niespodzianki. Przyzwyczajony do ospałego portu w rodzinnym Valparaíso, chłopiec patrzył oszołomiony na szaleństwo domów i budowli w najróżniejszych stylach, na bogactwo i nędzę, wszystko tak wymieszane, jakby miasto wznoszono w pośpiechu. Przed eleganckim sklepem ze skrzypcami i fortepianami ujrzał końską padlinę, w której roilo się od much. Po ulicach, na których bez przerwy słyhać było parskanie zwierząt i stukot kół powozów, przetaczał się tłum stanowiący mieszaninę wielu narodów: Amerykanie, Hiszpanie i Latynosi, Francuzi, Irlandczycy, Włosi, Niemcy, czasami jacyś Indianie i Murzyni, jeszcze niedawno niewolnicy, a teraz ludzie wolni, choć nadal odtrąceni i biedni. Wjechali do Chinatown i w okamgnieniu znaleźli się jakby w innym kraju, zamieszkanym przez „niebiański lud”, jak nazywano Chińczyków. Woźnica kierował powóz w stronę Plaza de la Unión, rozganiając przechodniów na boki strzelaniem z bata. Zatrzymał się przed domem w stylu wiktoriańskim, skromnym w porównaniu ze spotykanymi tu na

każdym kroku budynkami zdobnymi w wymyślne gzymsy, płasko-rzeźby i rozetowe okna.

– To jest herbaciarnia pani Sommers, jedyna w tych stronach – wyjaśniła Paulina. – Kawy możesz napić się wszędzie, ale na filiżankę herbaty trzeba przyjść tutaj. Jankesi czują wstręt do tego szlachetnego naparu od czasów wojny o niepodległość, która rozpoczęła się, kiedy buntownicy zatopili herbatę Anglików w Bostonie.

– Ale czy od tamtego czasu nie minęło już sto lat?

– Sam widzisz, Severo, jaki głupi może być patriotyzm.

Powodem częstych odwiedzin Pauliny w tym miejscu nie była jednak herbata, lecz słynna cukiernia Elizy Sommers, dzięki której w całej herbaciarni unosiła się smakowita woń karmelu i wanilii. Budynek, jeden z wielu, jakie w początkach istnienia miasta sprowadzano w częściach z Anglii, wraz z instrukcją, jak należy je do siebie dopasować, składał się z dwóch pięter zwieńczonych wieżyczką i wyglądem przypominał wiejski kościółek. Dwa pokoje na parterze połączono ze sobą, powiększając w ten sposób jadalnię, w której stało kilka giętych krzeseł i pięć stoliczków przykrytych białymi obrusami. Na pierwszym piętrze sprzedawano pudełka z cukierkami domowej roboty z najlepszej belgijskiej czekolady, migdałowy marcepan i najróżniejsze kreolskie słodycze z Chile, za którymi przepadała Paulina. Gości obsługiwały dwie Meksykanki z włosami splecionymi w długie warkocze, ubrane w białe fartuchy i wykrochmalone czepki, nadzorowane na odległość przez niepozorną panią Sommers, która prawie nikła obok przytłaczającej postaci Pauliny. Moda na suknie wcięte w talii i składające się z wielu leciutkich jak mgiełka spódnic była korzystna dla tej pierwszej, a w przypadku tej drugiej podkreślała dodatkowo jej obfite kształty; Paulina del Valle nie oszczędzała na materiale, lubiła też frędzle, pompony i zakładki. Tego dnia wystrojona w żółto-czarną suknię, ozdobioną piórami kapelusza i prążkowany, bardzo prążkowany, żakiet przypominała pszczelą królową. Wypełniała sobą salon, pochłaniała całe po-



wietrze, a przy każdym jej kroku pobrzękiwały filizanki i trzeszczały cienkie drewniane ściany. Gdy służące ujrzały ją w drzwiach wejściowych, rzuciły się biegiem, by zastąpić jedno z delikatnych giętych krzeseł solidniejszym fotelem, w którym dama usadowiła się z wdziękiem. Jej ruchy były powściągliwe, bo uważała, że nic bardziej nie szpeci niż pośpiech; nie pozwalała sobie także na wydawanie dźwięków charakterystycznych dla starych ludzi, nigdy nie sapała w miejscach publicznych, nie wymknęło jej się żadne kasznięcie ani ciężkie, spowodowane zmęczeniem westchnienie, choćby nawet padała z nóg. „Nie chcę mieć głosu jak gruba baba”, mawiała i codziennie płukała sobie gardło sokiem z cytryny zmieszonym z miodem, aby zachować głos osoby szczupłej. Drobna i prosta jak trzcina Eliza Sommers, ubrana w ciemnoniebieską spódnicę i w zapiętą pod szyję bluzkę w kolorze melona, z długimi, zapiętymi także przy mankietach rękawami, z dyskretnym sznurkiem pereł jako jedyną ozdobą, sprawiała wrażenie znacznie młodszej, niż była w rzeczywistości. Jej hiszpańszczyzna brzmiała nieco chropowato z powodu rzadkiego posługiwania się tym językiem, po angielsku mówiła z brytyjskim akcentem. Obie z Pauliną przerzucały się podczas rozmowy z jednego języka na drugi. Majątek pani del Valle oraz jej błękitna krew stawiały ją pod względem statusu społecznego znacznie wyżej od pani Sommers. Kobieta pracująca dla przyjemności mogła sobie co najwyżej zyskać miano herod-baby, jednak Paulina wiedziała, że Eliza nie należy już do tego samego środowiska, w którym dorastała w Chile, i że nie pracuje dla przyjemności, lecz z potrzeby. Doszły ją także słuchy, że żyje z jakimś Chińczykiem, ale mimo właściwego sobie tupetu nigdy nie odważyła się bezpośrednio jej o to zagadnąć.

– Pani Eliza Sommers i ja poznałyśmy się w Chile w 1940 roku. Ona miała wówczas osiem lat, a ja szesnaście, ale teraz jesteśmy w tym samym wieku – wyjaśniła Paulina bratankowi.

Służące podawały herbatę, a Eliza Sommers słuchała rozbawiona paplaniny Pauliny, ledwie przerywanej na kolejne kęsy. Severo zapomniał o nich obu, gdy przy innym stoliku dostrzegł śliczną dziewczynkę. Wklejała obrazki do albumu przy świetle gazowych lamp, oświetlona złocistym blaskiem delikatnego światła dnia wpadającego przez witraże w oknach. Była to Lynn Sommers, córka Elizy, osobka tak niezwyklej urody, że już wówczas, jako dwunastoletnie dziecko, pozowała różnym fotografom w mieście: jej twarz ozdabiała pocztówki, afisze i kalendarze z aniołami grającymi na harfie i z psotnymi nimfami płaszącymi pośród tekturowych drzew. Severo był jeszcze w takim wieku, kiedy dziewczynki stanowią dla chłopców raczej odpychającą tajemnicę, a jednak uległ fascynacji. Stał obok i przyglądał się jej z otwartymi ustami, nie pojmując, dlaczego czuje ucisk w piersi i chce mu się płakać. Eliza Sommers wyrwała go z tego transu, wołając oboje, by przyszedli wypić czekoladę. Dziewczynka zamknęła album i nie spojrzawszy nawet na chłopca, jakby w ogóle go nie było, wstała i leciutko podeszła do stolika, niemal płynąc w powietrzu. Bez słowa i nie podnosząc wzroku, zasiadła przy swojej filiżance czekolady. Nie zwracała uwagi na natarczywe spojrzenia młodzieńca, w pełni świadoma tego, że wygląd wyróżnia ją z całej reszty śmiertelników. Traktowała własną urodę jako swego rodzaju upośledzenie i w cichości ducha ufała, że z czasem przeminie.

Kilka tygodni później Severo wszedł wraz z ojcem na pokład statku zabierającego ich w drogę powrotną do Chile. Wyjeżdżał pod wrażeniem ogromu Kalifornii i z mocno odcisniętym w sercu obrazem Lynn Sommers.